

665

STEFAN  
OTWINOWSKINotes  
KRAKOWSKI

**D**ziś dajmy sobie spokój z klimatem, topografią i spacerami — i przedstawmy autora, o którym nikomu z nas nie wolno nigdy zapominać: Aleksandra Fredrę „Meza i żonę” oglądałem bodajże czwartą raz w życiu i z największą satysfakcją. Rzecz demonstruje krakowski Teatr Kameralny. Reżyserka — Wanda Laskowska — odznaczająca się nie tylko inteligencją, ale i taktem, nie wprowadziła do akcji żadnych narzucających się ulepszeń dla „dobra odbioru”, nie urozmaiciła tekstu znakomitego pisarza żadnym szczególnym dziwactwem. Wielka jej za to chwala! Pewne unowocześnienie interpretacji w tej krakowskiej edycji dzieła polega na przyspieszeniu tempa dialogu oraz na ładnych wstawkach wokalnych. Aktorzy z tej próby galopują dając egzamin jeśli nie na piątke, to w każdym razie na trójkę z pl.

Najmniej w całym przedstawieniu podobały mi się dekoracje. Pochwalibym stroje pań, ale nie mógłbym przyznać nagrody kostiumom męskim. Elwirę grała z wielkim wdziękiem Teresa Budzisz-Krzyżanowska. Wszelkie pikanterie roli Justyny wydobytą beztędnie Ewa Ciepiela. Skoro już jesteśmy przy pojęciu bezbłędności, to na pewno w roli Wacława i w roli Alfreda, czyli w pracy panów Lubaszewki i Radziwiłowicza skrupulatny krytyk znalazłby błędy: ja na szczęście nie jestem krytykiem, więc tylko oba te nazwiska jako kronikarz z szacunkiem odnotowuję. Zdarzy się pewnie w przyszłości okazja, że o artystach tych napiszę szerzej i lepiej.

Świetna to sztuka, z taką finezją zrobiona, z taką lekkością! Słuchając zapomina się, że o grzechu cudzołóstwa można mówić inaczej, męcząc umysł i wyobraźnię. A jednak można. Oto w czas jakiś po satysfakcjach, które przeżyłem w teatrze, zapragnąłem satysfakcji kinowych. Wybrałem się zatem do „Wolności” na amerykański film „Klute”. Tak, i w tym scenariuszu cudzoł-

stwo jest bohaterem, ale rzecz dzieje się w mocno zaawansowanym wieku dwudziestym, w wielkim mieście, wśród instytucji i urzędów kontrolujących każdy ludzki zamiar, gest, zapisujących na taśmie magneto fonowej każde słowo. Owszem, i w tej sztuce jest eros dominujący, ale bez dowcipu, z urokiem złym, koszmarnym. Warto film zobaczyć, warto zastanowić się też nad epoką, w której powoli, lecz nieubłaganie ginie prawo człowieka do jakiegokolwiek intymności, do jakichkolwiek prawdziwie własnych myśli nawet.

Po ponurym doświadczeniu z filmem „Klute” szukałem długo w programie kinowym jakiejś, niechby i głupiej, komedii, byle bez psychoanalizy i aparatów podsłuchowych. Znalazłem. Kinoteatr „Wanda”, tytuł „Kaprysy Marii”. Choć tytuł prawie z Musseta, i chociaż treść prawie romantyczna, pomysł i sens akcji wywodzą się z René Claira. Przypominacie sobie „Upiorna na sprzedaż”? W tamtej komedii przenoszono z Europy do Ameryki zamek, tutaj, w „Kapryсах Marii”, transportuje się z Francji do Stanów Zjednoczonych całe miasteczko, wraz z nieliczną, co prawda, ludnością. Uprawdza się, rzecz oczywista, również piękną Marię. Wszystko na próżno. Właśnie Maria, ów cudowny kwiat francuskiej prowincji, nie przyjmuje się w Nowym Jorku. Miasteczko, wraca do Europy. A odbywa się ten wspaniałomyślny powrót z tej racji, że młody Amerykanin jest nie tylko milionerem, ale i człowiekiem wielkiego ducha. Ani trochę małostkowości w tym stuprocentowym mężczyźnie. I proszę sobie wyobrazić, ten tak sympatycznie mówiący o młodych i bardzo bogatych Amerykanach film został przez jedną część francuskiej krytyki filmowej potraktowany jako objaw francuskiego szowinizmu. Bardzo zabawne. Idźcie koniecznie na tę, może nie najświetniejszą, ale wesołą komedię, a na pewno wraz z mną zaświadczycie, że w artystycznych zamierzeniach i odruchach scenarzysty Daniela Boulanger’a, jak i reżysera Philippe’a de Broki nie ma ani cienia nacjonalizmu.

Na ulicy Tomasza, w kinie moim ulubionym, udało mi się w ostatnim dniu wyświetlania chwycić komedię muzyczną „Boy Friend”. Nie miała ona w Krakowie powodzenia, szła bodaj tylko przez tydzień. Można zrozumieć, na czym polegała u nas kasowa klęska tego filmu, gdy weźmie się pod uwagę fakt, że gwarantem sukcesu każdej komedii i każdego dramatu filmowego jest wygrany „plebiscyt” wśród młodzieży. Siła komediowa „Boya Frienda” tkwi w subtelnym, a nawet i erudycyjnym operowaniu pastiszem. Młodzież nie lubi pastiszu i, w dodatku, jak może pamiętać, dawne wielkie rewie rodem z Hollywood? Jakże tu śmiać się z parodi, skoro nie zna się wzoru? Tak więc film zdecydowanie nie dla młodzieży. Dla nas. Dla nas, to znaczy dla tych, którzy swą młodość przeżyli w kinach fascynując się „Błękitną paradą”, „Cariocą”, no i zaiste niezrównaną techniką Freda Astaire’a. Miałem więc w kinie „Apollo” w minionym tygodniu, w sali prawie pustej, dzięki Kenowi Russellowi nie tylko wieczór przyjemny, ale i obfitujący we wspomnienia. Naturalnie, parodystyczność utworu nie jest jego jedyną cechą; film ma charakter wielo warstwowy i zasługa główna reżysera Kena Russella polega na tym, że owej wielowarstwowej całości u-miał nadać rytm i kształt własny.

Na koniec kilka zdań o wystawie malarstwa Ireny Popiołek. Wystawę tę można obejrzeć w piwnicach Muzeum przy ulicy Szpitalnej. Obrazów jest niewiele, ale wszystkie sugestywne i pełne treści. Treść jakby autobiograficzna: własna wrażliwość w ciągłym ryzykownym kontakcie z życiem. Także artystyczny wzrost nie zapożyczony. Kolory, akcję i atmosferę doskonale uwierzytelniający. Jakż pyszny ów fiolet „Poranka”.

Wystawa Ireny Popiołek mieści się w Muzeum Teatralnym, chociaż — o ile mi wiadomo — artystka nie miała jeszcze kontaktu ze sceną. A właściwie dlaczego? Przecież świetnie swą wyobraźnią mogłaby teatrowi służyć. Czy zauważyliście, jak monotony jest nasz krakowski afisz teatralny? Ciągłe te same nazwiska reżyserów i scenografów. Miesiąć po miesiącu żadnej zmiany, zupełny brak konfrontacji. Czemu to? Ano między innymi chyba i dlatego, że jak od kilku lat pilnie odwiezam wszystkie ekspozycje plastyczne, tak w czasie tych odwiezdzin nigdy żadnego „miarodajnego” człowieka teatru nie widziałem.

STEFAN OTWINOWSKI